Rok VII. 31-go stycznia 1888 r. Nr 2

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Szwajcaryi, Francyi, Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłką w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Austryi 5 guldenów.
W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedynczego 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych.

Adres Redakcyi i Administracyi: GENÈVE, Chemin Dancet 15, Imprimerie de l'Aurore.

Wolność i niepodległośc posłów polskich w Berlinie

Od dziesięciu lat panują w Niemczech wyjątkowe prawa przeciwko socyjalistom; od dziesięciu lat posłowie polscy w Berlinie oświadczają, iż w zasadzie są przeciwni wszelkim prawom wyjątkowym, ale jednocześnie nie zjawiają się w sali obrad, by w ten sposób zmniejszyć ilość głosujących: *nie*.

W przeciągu tych dziesięciu lat ucisku „wyjątkowego“ armija socyjalistyczna nietylko że nie została osłabioną, ale przeciwnie wzmogła się. To też w odpowiedzi na to, rząd niemiecki nietylko że już drogą nadużyć zmodyfikował w zupełności prawa uchwalone w 1878 r., ale nadto postanowił zażądać od parlamentu obostrzeń, któreby dawały policyi możność wypędzania agitatorów socyjalistycznych z kraju.

W przeciągu tych samych dziesięciu lat rząd Bismarka obdarzył prowincyje polskie, będące pod zaborem pruskim, całym szeregiem ukazów. To wydalają z prowincyj naszych wszystkich polaków, niemających „poddaństwa“ pruskiego: w ten sposób 30,000 rodaków naszych zostało skazanych na włóczęgostwo. To rugują język polski ze szkół na Szląsku, wreszcie i ze szkół w Księstwie. To gospodarka policyjna otacza kajdanami swej czujności czytelnie, księgarnie, drukarnie itd.

Jedno tylko nie zmieniło się w przeciągu tych dziesięciu lat, mianowicie nikczemna postawa tych, którym ludność polska powierzyła obronę jej interesów. I teraz, jak przedtem, posłowie polscy głosują za nowymi i coraz większymi podatkami; i teraz, jak przedtem, posłowie polscy głosują za cłami; i teraz, jak przedtem, posłowie polscy nie myślą o obronie praw i interesów ludu pracującego, ale o przywilejach szlacheckich i interesach gorzelni pańskich; i teraz, jak przedtem, zwiększają oni i popierają rządy Bismarka, przykrywając się płaszczykiem wolności i niepodległości; wreszcie i teraz, jak przedtem, posłowie nasi będą w zasadzie przeciw prawom policyjnym, gotowi wszakże uciec z sali, gdy nadejdzie chwila podania swego głosu: *nie*.

Jeżeli mówimy, że postawa posłów naszych nie zmieniła się, to myślimy o zmianach na dobre. W innym jednak kierunku, to i nasi posłowie się zmienili... Nigdy jeszcze nie słyszeliśmy bowiem od tych panów takiego podłego umizgania się do rządu niemieckiego, jak w tych słowach, które poseł Kościelski od imienia całego koła posłów polskich wypowiedział podczas ostatnich obrad nad prawami wyjątkowemi przeciw socyjalistom.

Wprawdzie i w tym roku pan Kościelski oświadczył się przeciw prawom wyjątkowym, ale nie dlatego, że są one pogwałceniem zasady swobód politycznych, ale dlatego tylko, że są wyjątkowemi. Trzeba, według pana Kościelskiego, ukuć stałe prawo, pozwalające prześladować wszystkich tych, którzy są obrońcami pracy wyzyskiwanej; trzeba mieć takie prawodawstwo, by ono pozwalało prześladować socyjalistów bez uciekania się do pomocy praw wyjątkowych. Oto jaką jest wolność posłów polskich, wolność, którą oni gotowi są dać innym. O, dla siebie pan Kościelski czego innego żąda! Domaga się on od Bismarka posad dla swej klasy, domaga się on wolności fałszowania wódki, możności podwyższania ceny chleba itd., wreszcie i możności wyzyskiwania bez obawy o socyjalistów, prześladowanych na mocy prawa i wolności... pana Kościelskiego.

Ot, jaka jest wolność, której w Berlinie żądają posłowie polscy!

Ale — powie niejeden — posłowie nasi są wrogami Bismarka, są obrońcami naszej niepodległości narodowej. Zobaczymy, czego pan Kościelski chce w samej rzeczy: chce on zmiany praw wyjątkowych na prawa stałe, chce on za obrębem praw wyjątkowych pomagać w prześladowaniu socyjalistów, „bo polacy mają wszelki powód do rzetelnej pracy nad wzmocnieniem Rzeszy niemieckiej na wewnątrz i na zewnątrz“!

Pan Kościelski zasłużył na pochwałę, boć wreszcie raz wypowiedział, co on ma na myśli. Według panów posłów polskich, trzeba na nowo Bartkom naszym przelewać swą krew za Bismarka i kajzera, — trzeba na nowo płacić pieniądze na armiję niemiecką, — trzeba wystawiać swój grzbiet nahajkom rosyjskim, by potem pozwolić policyi bismarkowskiej odnowić tylko co zagojone rany, — trzeba na rozkaz Bismarka deptać swobody Rzeczypospolitej francuzkiej tak samo, jak deptać swobody w Niemczech, bo nietylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz silnym musi być Bismark.

Ot, jaką jest niepodległość, której dla nas dopominają się w Berlinie posłowie nasi.

Ależ Bismark odbuduje nam Polskę — krzyczy pan Kościelski!..

Nie śmiej się czytelniku! Polska pana Kościelskiego rzeczywiście się buduje przez Bismarka, bo ona polega na wódce kartoflanej, na drogiem zbożu i na prawach, zabraniających ludowi organizowania się w imię swych interesów, w imię wyzwolenia pracy.

PROCES POZNAŃSKI

II.

W poprzednim Numerze Przedświtu zaznaczyliśmy już niektóre charakterystyczne strony procesu, wytoczonego w Poznaniu towarzyszom naszym. Mówiliśmy o tem, że postępowanie sądowe było tajne, bo przy drzwiach zamkniętych, że poznańska prasa polska zamilczała o wszystkich nadużyciach rządowych, dając w ten sposób sędziom wolność w przekraczaniu praw, zagwarantowanych nawet tą mizerną konstytucyją, którą Bismark raczył dać Niemcom Zjednoczonym.

To też wynik procesu był do przewidzenia. Na siedemnastu oskarżonych zostało skazanych na więzienie trzynastu. W szczegółach swoich wyrok był następującym: Bronisław Sławiński skazany został na dwa lata i dziewięć miesięcy więzienia; Jan Konopiński, Feliks Witkowski na dwa lata i sześć miesięcy; Markowski na jeden rok i dziewięć miesięcy; Janiszewski i Morawski na rok i sześć miesięcy; Pricelus i Grochowski na dziewięć miesięcy; Gościński na siedem miesięcy; Ludwik Konopiński i Pospieszny na sześć miesięcy; Kurowski na sześć miesięsy oraz Michalina Zielonacka na cztery miesiące. Uwolnieni zostali: Deręgowski, Józef Witkowski, Porankiewicz i Kostrzewa. Niektórym skazanym na więzienie towarzyszom zaliczono z przebytego w śledztwie czasu: Ludwikowi Konopińskiemu i Zielonackiej — po cztery miesiące, — Sławińskiemu, Kurowskiemu, Janowi Konopińskiemu, Morawskiemu, Pricelusowi, Grochowskiemu i Gościńskiemu po trzy miesiące, wreszcie Pospiesznemu jeden miesiąc.

Ktokolwiek z naszych towarzyszy przypomni sobie poprzednie procesy socyjalistyczne, jakie miały miejsce w Poznaniu, jak naprzykład procesy Kasprzaka, Mendelsona, Padlewskiego, ten przyzna nam słuszność, iż sąd, jakby na rozkaz dany mu z góry, ma dla naszych towarzyszy w zapasie wyrok dwu lub trzyletniego więzienia. To też nie dziw, że i teraz pan Hauslentner prezes sądu, pomimo długiego namysłu był hojnym w „dwuletnie z okładem więzienia“. Co się tyczy wyroku, który spadł na dolę towarzysza Janiszewskiego, to brzmi on w gruncie na $3^1/_2$ roku, albowiem w zeszłym roku został on już skazany na dwa lata więzienia za nierozdawanie (Janiszewski wszak mieszkał w Dreznie) proklamacyi wyborczej, popierającej jego kandydaturę

W jaki sposób prokuratoryja dobiła się od sądu tak wysokich wyroków? Wymownym podobno był Mortins, osławiony prokuratorzyna poznański, który w sprawach o oszustwa umie się porozumiewać z oskarżonymi. Ale nie wymowa Mortinsa była decydującą! Wszak w Niemczech nie brak Martinsów i to znacznie wymowniejszych od poznańskiego gagatka, a jednak sądy tamże nie ośmielają się zawsze występować z tak zwanym „najwyższym“ wymiarem kary. Przypomnijmy sobie proces w Freibergu, który miał miejsce w 1886 roku wszak i tam sąd, umyślnie w celu skazania wybrany, zawyrokował w sprawie posłów niemieckich karę za należenie do tajnego związku, karę nie wynoszącą więcej jak dziewięć miesięcy. W Poznaniu zaś kara ta brzmi: dwa lata! Jak już powiedzieliśmy hojność sędziów poznańskich nie ma swej przyczyny w wymowie Martinsa. Prawdziwa przyczyna leży gdzieindziej i tą należy nam dziś wydobyć na jaw.

Pomimo swego despotyzmu Bismark musi się liczyć z głosem opinii powszechnej; i on pamięta o tem, by nie przekroczyć miarki.

opinią publiczną liczą sie rządy tam, gdzie ona istnieje. Otóż w księztwie nie masz opinii publicznej, któraby mogła nałożyć wędzidło na Bismarka i jego ajentów. Nasze pany, dotychczas jeszcze stojące na czele polityki „narodowej", zdradzają wszędzie i zawsze interes ogółu, gdy mają widoki zysków osobistych. Bismark zna z jednej strony rozkład moralny naszych klas posiadających; z drugiej zaś strony wie on i o tem, że lud nasz do dziś dnia jest co się tyczy polityki tylko narzędziem posłusznem w rękach panów.

To też u nas ukazy, które Bismark Wilhelmowi dyktuje, mnożą się z dniem każdym; to też u nas, w księztwie, bezprawia są rzeczą codziennej polityki ajentów rządowych; to też da księztwa przysyłają nam Benningsenów, Mahlowych, Napory i inne tego rodzaju szelmy, które opinija publiczna wypędziła z prowicyj niemieckich; to też u nas policyje, sądy, regencyje i inne domy nierządu politycznego są samowolnymi panami kraju. Jeśli w Niemczech Bismark jest konstytucyjną szelmą, to u nas jest on samodzierżawną, która nie zna granicy w ucisku i despotyzmie.

I nietylko my, socyjaliści, cierpimy bardziej przy takich warunkach. Czyż najmniejsze słowo krytyki nie jest u nas poczytywane za obraze czort wie jakiego majestatu? Czyż redaktorowie naszych niby to „patryjotycznych" gazet, pomimo że głupota ich czyni je szkodliwemi tylko dla ludu polskiego, czyż ci nie odsiadują bezustannie kozy to za Kajzera, to za Bismarka, to za landrata, to za innego jakiegoś psubrata? Czyż u nas policyja nie zaprenumerowała sie do wszystkich czytelni ludowych, zkąd wykrada książki nawet pana Chociszewskiego? Wszystko to ma u nas miejsce i może mieć miejsce dlatego, że nie ma u nas politycznej opinii w ludzie.

Jak dojść do tej opinii? Tego właśnie uczyli ci, którzy przez Martinsa przy oklaskach Dobrowolskiego, Szymańskiego, i im podobnych skazani zostali na więzienie. Tego uczyli nas towarzysze, dziś poniewierani w murach więziennych i w gazetach patryjotycznych.

Panowie mścili się na druhach naszych za to, że budzili lud z uśpienia, że wykazywali mu drogę do wyzwolenia się z ucisku rządów i panów, z niewoli politycznej i z jarzma ekonomicznego. Dlatego że Sławiński i towarzysze jego nauczali polską klasę pracującą co to jest wolność i kiedy ona nastąpić może — zostali oni oplwani przez tych, którzy dziś rządzą nami, zabierając nam owoce naszej pracy, trzymając nas w ciemnocie politycznej.

Jeżeli nasze klasy posiadające rzuciły się z taką wściekłością na socyjalistów polaków, to tembardziej zostali oni przedmiotem prześladowania Bismarkowskich ajentów i siepaczy. Ci wiedzą dobrze o tem, że w prowincyjach polskich dzisiejsza gospodarka rządowa może trwać tylko dopóty, dopóki lud nasz będzie w rękach panów; z chwilą, w której nasze masy pracujące zaczną pojmować swe interesy i potrzebę zdobycia sobie lepszych warunków bytu, z tą chwilą poczną one być siłą — która coraz bardziej wyruguje rządy bismarkowskie. I oto dlaczego rząd niemiecki z podwójną wściekłością rzucił się na nas. Jeżeli socyjaliści są w ogóle nieprzebłaganymi wrogami Bismarka, to w księztwie są oni jedynymi; jeżeli wszędzie socyjalizm oświadamia masy pracujące i daje im należyte zrozumienie swych interesów, to u nas ma on jeszcze jedną rolę do spełnienia, a mianowicie te, że budzi nasze masy pracujące z ich zupełnego odrętwienia, w jakiem pogrążone zostały przez tylowiekową gospodarke szlachecką.

Zrozumiemy więc teraz surowość wyroków sądu poznańskiego; zrozumiemy też dla czego Bro e scy, Braciszewscy*), Napory nie znajdują potępienia ze strony tych, którzy niby to stoją na straży moralności publicznej; zrozumiemy też dla czego niemieckie rządy konstytucyjne są w księztwie litylko rządami despotyzmu.

Dziś, kiedy wyroki poznańskiego sądu wyjątkowego pozbawiają nas pomocy tylu energicznych towarzyszy, powinniśmy pamiętać o tem, że wytrwała praca nadal nietylko że doprowadzi nas w końcu do celu, ale nadto wyda jeszcze wcześniej dobre rezultaty. Im silniejsi będziemy, tem bardziej Bismark będzie zmuszony liczyć się z nami i tem dogodniejsze dla nas będą warunki dla naszej działalności, która wreszcie doprowadzić musi do zupełnego zwycięztwa.

*) Braciszewski, robotnik z Berlina, zdradzał swych towarzyszy. Do denuncyjacyi namówił go brat jego, sędzia na Szląsku. Za usługi te Braciszewski sędzia chyba był wynagrodzony, bo Braciszewski robotnik został w Poznaniu zaaresztowany za... żebractwo!

SERCE PAŃSKIE
i
KIESZEŃ LUDOWA

Kłaniaj się, bracie, panu, bo on bogaty!
Kłaniaj mu się, bo on silny i rządzi tobą!
Kłaniaj mu się wreszcie, bo on dobroczynny!

Po zabraniu ludowi owoców jego pracy, po nałożeniu na masę pracującą obroży ucisku ekonomicznego i politycznego, nasi władzcy rzucają się do „dobroczynności", inaczej zwanej „filantropiją" czyli miłością bliźniego (człowieka).

Na czem polega „dobroczynność" panów naszych? Miłość bliźniego polega u nich na tem, by zdrowego robotnika wyzyskiwać w fabryce, a chorego i zniedołężniałego osadzać w więzieniu, zwanem domem przytułku, — by czy to na roli, czy to w przemyśle okradać taką ilość pracujących, jaką kapitał i rynek pozwala zatrudniać, resztę zaś „rąk roboczych", którą nie można wyzyskiwać przy wytwarzaniu bogactw, osadzać w domach poprawczych itp. zakładach „dobroczynności", by ludzi, z których wyssano wszystkie siły, na starość karmić kosztem ogółu, — by więźniów, uwolnionych z koszar występku, zamykać na nowo w „przytułkach" aż do czasu, w którym kapitał ich nie zażąda do pracy najemnej w koszarach przemysłu' — by z dziewcząt, z których ust spito czar młodości, przygotować dobre i wierne służące po klasztorach i t. d. Różnorodną więc jest owa miłość bliźniego, którą odznaczają się nasze klasy posiadające i liczne są objawy dobroczynności wystrojonych panów i pięknych pań.

Jeżeli tego rodzaju miłość bliźniego „dobrze czyni" biednej ludności, to w rezultacie daleko więcej korzyści oddaje ona tym, którzy nią tak hojnie się rozporządzają.

Przypuśćmy na chwilę, że panowie, rozdrażnieni naprzykład agitacyją socyjalistyczną postanawiają sobie zaprzestać „dobroczynności" i nie darzyć bliźniego ale „niewdzięcznego" robotnika swoją filantropiją. Wtedy ulice miast i

ŻAKERYJA *)

Działo się to w miesiącu maju; słońce już zaszło i zmrok opuścił swe skrzydła na ziemię.

Powietrze było ciepłe i spokojne; młode liście stuletnich dębów w parku zaledwo się poruszały pod działaniem lekkiego wietrzyku. Księżyc w pełni przeglądał się w jeziorze, w którem, jak w zwierciedle, odbijał się też olbrzymi zamek ze swemi dwiema śpiczastemi wieżyczkami.

Pomimo spóźnionej pory jeszcze nie wszyscy mieszkańcy zamku usnęli; w jednem z okien widać było światło.

Gdyby ktoś ciekawy zajrzał przez okno, to mógłby zobaczyć w małym saloniku, zastawionym kosztownymi meblami, człowieka, mogącego mieć lat około czterdziestki, o czarnych włosach i dużych wąsach oraz, jak to była mowa w owe czasy, o bródce, zakończonej spiczasto.

Z nogami wyciągniętemi naprzeciwko ognia, rozpalonego na kominku, pomimo ciepłej pory roku, spoglądał on z uśmiechem na młodą i ładną żonę, która siedziała po drugiej stronie kominka.

Między nimi na dywanie leżał wyciągnąwszy się ogromny chart; wsunąwszy swój długi pysk między nogi, zdawał się on drzemać.

W kącie obok młodej kobiety stała, ubrana drogiemi koronkami, kołyska, w której spało trzyletnie dziecko.

Mąż wrócił tego dnia po długiej nieobecności z wojny, którą prowadzono przeciwko zbuntowanym chłopom. Obecność ładnej żony, jasny ogień na kominku i dobry dzban wina grzanego, wydawały mu się przyjemniejszemi, niż kiedykolwiek, po trudach i niebezpieczeństwach obozowego życia.

* * *

Podczas gdy to się działo w komnacie, z za krzaków parku wysuwał się tłum milczący włościan. Mogło ich być około trzechset. Wszyscy byli uzbrojeni widłami, kosami lub długimi nożami, mocno przywiązanymi do końca kijów.

W salonie pomimo ostrożności, jakie zachowywali napadający, pies poczuł niebezpieczeństwo. Z początku podniósł tylko swą czujną głowę i zaczął warczeć; potem zerwał się nagle do drzwi i począł zajadle szczekać.

Hałas zbudził drzecko, które zapłakało. Matka wzięła je na ręce, żeby je utulić. Mąż krzyknął na psa.

— Cicho... sułtan!.. Czego on chce?..

Ale sułtan nie przestawał szczekać. Wtenczas rycerz otworzył drzwi i pies rzucił się do przedpokoju.

Prawie jednocześnie usłyszano przeraźliwe wycie oraz upadek jakiegoś ciężkiego ciała.

Psu nie poszczęściło się; człowiek, na którego on się rzucił, zdołał się usunąć na bok i zwierzę runęło na ziemię, mając brzuch rozpruty kosą.

Pan zbliżył się; światło, które padało przez szeroko rozwarte drzwi wchodowe, pokazało mu zdychającego sułtana.

— Kto to zrobił?.. — zawołał on z wściekłością.

— To ja...— odpowiedział jakiś głos i jeden z chłopów wysunął się naprzód.

— Jakób?..

— Tak jest, Jakób... dziękuję panu, żeś mnie pan poznał.

— Ty, chamie, zabiłeś mojego psa!

— Tak jest, panie, i ciebie zabiję także.

— Do mnie!.. Na pomoc!.. — krzyknął hrabia, widząc cały ten tłum zbrojny.

W oficynie, zamieszkałej przez służbę, otworzyły się okna; wyjrzały z nich twarze przestraszone; kilka strzeib włościańskich pochyliło się w tym kierunku.

— Wychodźcie no ztamtąd... — zawołał Jakób.

Służący zbliżyli się, drżąc ze strachu. Ci ludzie, wiecznie schyleni przed bogatymi i pogardliwi względem ubogich, domyślali się, co ich mogło spotkać.

— Wszyscy tu jesteście?..

— Wszyscy...

— No... to teraz nogi za pas, a żywo!..

Lokaje niczego więcej nie żądali; chłopi rozsunęli się, żeby im dać przejść; tylko ci, którzy mieli w ręku baty, nie omieszkali przeciągnąć ich po nogach.

*) *Żakeryjami* nazywano bunty chłopskie, które miały miejsce we Francyi podczas wieków średnich; nazwa ta pochodzi od przydomku *Jacques bonhomme* (czytaj: żak bonom), tj. głupi Jakób, który szlachta w owe czasy nadawała chłopom.

drogi wiejskie zalane zostałyby tą ludnością, która dziś pędzi nędzny żywot po wszystkich, przez nas wyżej wspomnianych, zakładach, przytułkach etc. Tysiące, dziś istniejących włóczęgów, zostałyby podwojone, potrojone; kraj cały musiałby prowadzić partyzantkę niejako z temi jego dziećmi, których cała wina polega na tem, że nie mają możności być nawet wyzyskiwanymi. Niebezpieczeństwo dla spokoju klas posiadających i dla ich „porządku“ byłoby niezmiernem. Cóż więc zrobić z owymi wydziedziczonymi, których nie można zaprządz do pracy najemnej? Trzeba ich uczynić nieszkodliwymi; trzeba znaleźć środki, zapobiegające niebezpiecznemu nagromadzaniu się ludzi bez dachu i bez chleba; trzeba ich usunąć z ulic i dróg publicznych.

Dawniej rada na żebractwo była prosta. Zakazywano je pod groźbą ciężkich robót, kalectwa, nawet... śmierci. Wszakże było to możliwem dawniej, kiedy nie było mas żebrzących. W Anglii, gdzie rozwój przemysłu najwcześniej doszedł do wielkich rozmiarów z jednoczesnem wywłaszczeniem całej ludności wiejskiej, spostrzeżono się też, że srogie prawa nie zaradzą złemu. To też od kilkuset lat istnieje w Anglii podatek na biednych, który daje gminom środki osadzenia mas żebrzących po tak zwanych „domach pracy.“ Widzimy więc, że dzisiejszy porządek społeczny, oddający wszystkie bogactwa społeczne w ręce nielicznej klasy uprzywilejowanej, z jednej strony odmawia ludowi prawo do pracy, z drugiej daje mu niejako prawo do jałmużny. Przyczyna prosta: prawo do pracy znaczy prawo do własności; jałmużna zaś jest tylko środkiem policyjnym.

Jak dalece ta potrzeba dobroczynności wywołaną jest interesami klasy posiadającej, widzimy to z tego, że jest ona stosownie do potrzeb organizowaną tak samo, jak organizowanem jest sądownictwo, jak organizowaną jest policyja itd. W naszem społeczeństwie, którego rozwój jest bardzo spóźniony, starsi ludzie mogliby sobie przypomnieć dokładnie, jak tak zw. „dobroczynność“ z biegiem czasu przyjmować poczynała formy zorganizowanego urządzenia, mającego za zadanie być niejako klapą bezpieczeństwa dla dzisiejszego porządku społecznego.

Ludzie bardzo podeszłego wieku, jeśli dobrze przywołają sobie do pomocy swą pamięć, mogliby przedstawić nam obraz, w którym wielkie szeregi żebraków nie znalazłyby dla siebie miejsca, w którym tylko w wyjątkowych razach musiano organizować jałmużnę, będącą zresztą tylko aktem dobrej woli jednostki, nie ścieśniającej ani siebie, ani też proszącej o datek osoby.

Z czasem dopiero, gdy ilość „proszących“ się zwiększa, filantropija bogatszych zaczyna przyjmować charakter zorganizowanej czynności. Zamożny kupiec nie wpuszcza już do swego sklepu w każdej chwili, ale naznacza im dzień jeden w tygodniu lub rzadziej. Na ten dzień przygotowuje on odpowiednią ilość drobniutkiej monety (naprzykład półgroszów polskich). Dlaczego to zaszła taka zmiana w zwyczajach naszego kupca? Odpowiedź jest jasna: z rozwojem współczesnych nam porządków kapitalistycznych wzrasta i ilość cierpiących i ilość niezajętych „rąk roboczych“, wyzutych z własności i z możności pracy. Masę tę nędzną i żebrzącą nie można zostawić bez pomocy, ale jednocześnie i pomoc im udzielana musi być oszczędniejszą ze strony jednostki, musi być zorganizowaną. Początek tej organizacyi polega na tem, że każka jednostka z łona klasy posiadającej stara się przedewszystkiem s w o j ą „dobroczynność“ uregulować. Każdy to robi na własną rękę.

Przy dalszym rozwoju kapitalizmu ten tylko co opisany zarodek organizacyi „dobroczynności“ poczyna być niewystarczającym. Pojedyncza jednostka nie czuje się na siłach doprowadzić do porządku swój własny stosunek do ludności ubogiej i zmuszonej „prosić.“ Wtedy zjawiają się wspólnie przedsiębierane zakłady, wtedy zjawia się zbiorowa organizacyja dobroczynności. Wreszcie zjawiają się organizacyje dobroczynne, dokonane już nie przez dobrowolne związki prywatnych jednostek, ale przez związki polityczne: przez gminę, powiat, prowincyję, państwo. Dziś można powiedzieć, że dobroczynność została urządzeniem państwowem. Przy tej centralizacyi „dobroczynności“ najwięcej wygrywają ci, którzy się ze swego dobrego serca najbardziej chełpią, to jest klasy posiadające. Dziś główna część „dobroczynności“ wykonaną zostaje za pieniądze państwowe, płynące z podatków, a zatem stanowiące majątek całego narodu, kraju.

Z tego, cośmy tu w krótkości wyłożyli, jasnem jest, że „dobroczynność“ jest urządzeniem, mającem na celu obronę klas posiadających, — wreszcie, że dobre serca pańskie żywią swą dobroć podatkami, płynącymi z kieszeni ludowej.

Nie potrzeba jednak sądzić, że z powstaniem zorganizowanej dobroczynności państwowej muszą zniknąć wszelkie tak zwane filantropije prywatne. My mówimy tylko o ogólnych tendencyjach (kierunkach), jakie dziś dobroczynność przyjmuje. Powiedzieliśmy, że państwo staje się powoli g ł ó w n y m rozdawaczem jałmużny. Nędza wszakże znajduje w dzisiejszym gmachu społecznym tyle drzwi, iż zjawia się bezustannie przed oczami społeczeństwa i — wysuwając na scenę coraz nowe szeregi nieszczęśliwych, tem samem grozi spokojowi klas posiadających i zmusza je do szukania co raz to nowych środków zaradzenia złym skutkom włóczęgostwa i żebractwa. Oto więc jest nowa przyczyna, dla której nawet w krajach, gdzie państwowa dobroczynność jest bardzo silnie i doskonale zorganizowaną, jest ona niewystarczającą i codziennie powstawać muszą nowe „prywatne“ środki zaradcze. Tembardziej więc u nas „prywatna inicyjatywa“ (prywatny początek, pomysł) musi grać niezmierną rolę; to też serca pańskie rozdymają się i nie przestają samym sobie śpiewać hymnów pochwalnych. Ile jednak warte są te pochwały — wiemy już z tego, co wyżej powiedzianem zostało. Następujący zaś przykład z historyi urządzeń dobroczynnych w Warszawie będzie dobitnym dowodem wszystkiego wyżej wyłuszczonego.

Przed siedemnastu jeszcze laty założony został w Warszawie „przytułek dla wychodzących ze szpitali biedaków“, na czele którego stanęli bogaci kupcy oraz osoby koronowane... oślemi głowami i koronami hrabiowskiemi. Dlaczego ci dobrzy panowie pomyśleli o biedakach po ich wyjściu ze szpitali a nie przed ich wejściem także. Odpowiedź jest prosta: biedak zdrów nadaje się do fabryki, gdzie pracuje na fabrykanta; na niego więc czeka i nim się zajmie... pracodawca. Ale gdy spracowany biedak zachoruje od wysiłu i nędznej płacy zarobkowej, gdy w dodatku straci dużo sił w urządzonych „dobroczynnie“ szpitalach, to jest on jeszcze niezdolny do dalszego zarobkowania. Bez pracy — powiększa on ilość żebrzących „włóczęgów“, ilość zatem ludzi niebezpiecznych, Trzeba go więc zatrzymać choć trochę w przytułku.

W ciągu tego czasu wszakże był u nas wzrost przemysłu i panowie nie potrzebowali się troszczyć, co się stanie z wychodzącymi ze szpitali biedakami, bo na nich czekali przedsiębiorczy fabrykanci. To też liczba członków zmniejszała się bezustannie, pomimo niskiej opłaty (5 rubli dla członków czynnych, 10 rubli dla honorowych). Z początkiem roku bieżącego było już zaledwie 60 członków, z których na roczne n a d z w y c z a j n e zebranie, na które każdy członek z osobna był zaproszony, przybyło zaledwie 13 „dobrych“ panów!

Ponieważ już nabraliśmy nieufności do serc

— Macie gałgany! za wszystkie obelgi, któreście nam poczynili, niech wam to posłuży za naukę.

Lokaje uciekali, rycząc.

Tymczasem księżyc, który zdawał się uśmiechać, wznosił się, rozpromieniony, coraz wyżej. Hrabia stał ze ściśniętymi zębami i milczał.

— A teraz my dwoje się rozprawimy... — rzekł Jakób. — Ty musisz umrzeć, ale wprzód dowiesz się, o co cię oskarżam. Było to dziesięć lat temu. Ty jeszcze nie byłeś wtenczas żonaty. Ja miałem narzeczoną, którą zwano Martą; jej ojciec jest między nami i mój także. Gdy ci wszystko przypomnę, oni powiedzą, czy skłamałem. Marta była również uczciwą, jak była piękną. Otóż jednego dnia, na tydzień przed dniem, który był naznaczony na ślub, z twojej winy, obie nasze rodziny spotkało nieszczęście. Czy ty sobie, panie, przypominasz, coś ty nam wtenczas zrobił?.. Chodź no!.. pokażę ci to miejsce, pamiętasz je dobrze, a to ci odświeży pamięć.

— Tutaj się to działo — ciągnął dalej Jakób, gdy przyszli pod stary dąb, znajdujący się w środku ogrodu. — A ja byłem przywiązany do tego dębu, ponieważ poszedłem za wami. Chciałem ciebie zabić, ciebie i twoich przyjaciół, podczas gdy unosiliście ją pomimo krzyków i błagań. Nie mogąc jej ciągnąć dalej, tak się broniła, rzuciliście ją tutaj na ziemię. I tu, przedemną, podczas gdy ona się broniła rozpaczliwie, obdarłeś ją z ubrania obnażyłeś ją zupełnie. Gdyś zaspokoił twą żądzę, oddałeś ją innym. Na drugi dzień ona umarła!.. Dlaczego i ja wtenczas nie umarłem!.. Prawda, hrabio, że Marta była piękną?

I z zakrwawionemi wściekłością oczami chłop rzucił się na hrabinę i chwytając za kołnierz ubrania, szarpnął je z taką siłą, że rozerwał gorset aż do pasa, odsłaniając piersi.

— O! Jesteś piękną, pani!.. ale Marta była jeszcze piękniejszą od ciebie!..

— Poczekaj! pozwól nam skończyć!.. — zawołali inni i odsunęli Jakuba na stronę

Długo ciągnęły się oskarżenia.

— Hrabio... — mówił jeden — powinieneś być powieszony, ponieważ powiesiłeś mego brata za to, że zabił zająca, którego złapał w swym ogrodzie.

— Tak... — powtarzał inny — musisz wisieć, gdyż wsadziłeś do lochu moją starą matkę, która zebrała w lesie garść żołędzi dla swego wieprza, a następnie kazałeś oddać naszego wieprza na zjedzenie swym psom.

— Zniszczyłeś moje żyto, polując po niem naganką!

— Zhańbiłeś moją siostrę!..

— Kazałeś oćwiczyć mego ojca!..

— Wybiłeś mnie!..

— Okradłeś nas!

Gdy wszyscy umilkli, Jakób, biorąc sznur, zrobił pętlicę i chciał ją włożyć na szyję hrabiemu.

Musi wisieć na tem samem drzewie, przy którem byłem przywiązany, podczas gdy on gwałcił Martę...

— Jeszcze nie... — rzekł jeden z chłopów— trzeba, żeby wprzód nasz pan poszedł bić staw i płoszyć żaby. Przez tyle lat robiliśmy to, by ochronić jego sen, że trzeba, by i on to zrobił dla naszej przyjemności.

— Nigdy!.. — zawołał hrabia. — Podli jesteście!..

Jakób zbliżył się, groźny.

— Nie powtarzaj tego słowa, albo wyrwę ci język i każę ci go potem zjeść. Ilu pachołków wysyłałeś wtenczas, gdyś nas wsadzał do lochu lub przywiązywał do drzew?.. Ilu was było, gdyście gwałcili dziewczęta?..

— Trzeba, żeby sprawiedliwości stało się zadość... Dalej, naprzód!..

I chłopi pańszczyźniani mieli przyjemność widzieć swego „pana“, bijącego żerdzią wodę w stawie.

— Litości!... litości!.. — zawołała hrabina, gdy podprowadzono jej męża napowrót do drzewa.

— Litości?!.. A czy on zlitował się kiedy nad nami?.. A ty, pani, czy miałaś też kiedyś słówko litości za nas, podczas gdy twój mąż gniótł, niszczył nas swą siłą?..

— Nie, my nie mamy dla niego litości. Idź, oddal się.

I kobieta odeszła, unosząc swe dziecko.

Tymczasem przy blasku płonącego zamku, na gałęzi zawisł trup hrabiego.

Zanim słońce weszło, wszyscy już byli w zamku sąsiednim.

(Przekład z francuskiego.)

KONIEC

pańskich, więc należy się zapytać, co skłoniło te 13 dusz do „szlachetnego“ spełniania obowiązków i do zajęcia się losami upadającego przytułku? I na to pytanie odpowiedź nie trudna: ostatnie lata były latami kryzysu, bezrobocia, wzrostu nędzy, żebractwa i włóczęgostwa. Znalazło się więc 13 przewidujących panów, między którymi był znany przedsiębiorca Feist i sprytny żydek z banku Partner, — którzy pomyśleli puścić w ruch swoją maleńką klapę bezpieczeństwa.

A klapa ta doprawdy bardzo maleńka, bo w przeciągu 1887 roku zaledwie 908 osób znalazło tam przytułek kilkudniowy; wogóle było w tym roku 7.167 dni instytutowych, na które wydano 2.517 rubli. Dzień więc przytułku „biedaka“ kosztował $30^1/_2$ kopiejek, licząc w to i koszta administracyi.

Kto zgłaszał się z prośbą o przytułek? 292 rzemieślników, 200 wyrobników itd. oraz 206 „z innych stanów“, co znaczy z „lepszego stanu“, jak u nas zwykli mawiać. W tych liczbach co uderza: z jednej strony w liczbie 908 „potrzebujących“ było wyrobników, zarabiających zatem bardzo mało, 200 — z drugiej zaś strony spotykamy 292 rzemieślników, 40 handlarzy oraz 206 z innych stanów, a zatem z klasy średniej było 538 osób, czyli więcej, niż połowa. Widzimy więc, że gdy Feisty i Portnery robią dobre interesy, klasa średnia marnieje! Ale panowie nazywają to „wzrostem bogactwa krajowego.“

Zakład ten nie państwowy lecz zbudowany na dobrych uczuciach „starszej braci“ i rozchodujący zaledwie 2.517 rubli na rok, chyli się ku upadkowi. Do opłacenia tych skromnych wydatków trzeba było wziąć z kapitału 516 rubli, albowiem dochód wynosił zaledwie 2.000 rubli, w liczbie których jest zaledwie 800 rubli ze składek „hojnych i dobroczynnych“ panów. Wobec tego 13 wspomnianych apostołów przytułku, z których każdy wyzyskiem swoim doprowadza robotników nań pracujących do choroby, postanowiło radzić. Uradzono, by upomnieć się w cechach o składki na przytulisko, boć — mówią panowie — korzystało zeń 292 rzemieślników.

Zdawałoby się, że jednocześnie z żądaniem pieniędzy, oddadzą oni i część zarządu cechom. Ale gdzie tam! Jaśnie oświecony książe Lubomirski nie chce rządzić z rzemieślnikami, ale rzemieślnikami.

W cechach znów majsterskich panowie starsi rzucą się na czeladzi, tak samo, jak „dobrzy“ panowie przedsiębiorcy rzucili się na majstrów. I oto mieć będziemy serca pańskie karmiące dobroć swą groszem ludzi pracujących! Co to za dobre serca pańskie!

Serca pańskie rozdymały się i to za bardzo. Trzeba je ścisnąć! W jaki sposób? Oj, znamy my dobre do tego kleszcze, skuteczne bardzo, mianowicie te, które własność dzisiaj zagrabioną w rękach nielicznej garstki uczynią narodową, wspólną własnością. Ale temi kleszczami my dziś władać nie umiemy jeszcze, nie potrafimy! Jesteśmy, jak owi biedacy, wychodzący ze szpitala... ciemnoty, która nas oddała na pastwę łupieztwa pańskiego. Niektórzy z nas już wyzdrowieli dostatecznie, już doszli do zupełnej, socyjalistycznej świadomości. Ale sprawa nasza to nie sprawa oddzielnych jednostek, lecz klasy całej, — a właśnie klasa nasza, ludność pracująca, jeszcze słabą jest, jeszcze nie zna swych interesów, a zatem jeszcze nie ma sił dostatecznych. Może więc wypadnie i nam wstąpić do jakiegoś przytuliska, zanim będziemy w siłach ująć owe zaradcze i skuteczne kleszcze, o których była mowa wyżej. Przytuliskiem tem będzie agitacyja, mająca na celu obronę naszą od zbyt krzyczących przejawów ucisku, pod jakim się znajdujemy, — nadająca nam powoli siłę i zupełną samowiedzę.

Trzeba więc serca pańskie, zaglądające do naszej kieszeni, usunąć od opiekowania się nami. Czyż to nie fałsz, jeśli ci, którzy nas wyzyskują, rozporządzają samowolnie funduszami krajowymi, przeznaczonymi na zaradzenie zbyt krzyczącej nędzy?

Panowie organizowali „dobroczynność“ w swym interesie; czas aby n a s z interes był uwzględniony. A zatem usuńmy od rządów serca pańskie, natomiast na kieszenie pańskie nałóżmy podatek na biednych, podatek przeznaczony na zaradzenie nędzy. Zarząd funduszami musi przejść do naszych rąk. A zatem w każdej gminie — wiejskiej czy miejskiej — n a s i przedstawiciele będą zarządzać sprawami biednych. Co n a s z a rada gminna lub miejska w tej kwestyi postanowi, będzie obowiązującem...

W ten sposób nauczeni rządzić sercami pańskiemi i dać sobie rady w wypadkach krzyczącej nędzy, dojdziemy powoli do umiejętności rządzenia sobą i pracą naszą. Będzie to czas, w którym zbyteczne będą „dobre serca“, bo nie będzie grabicieli pracy ludowej — jedynych winowajców dzisiejszej nędzy.

Co słychać w świecie?

Ludzie w walce z baranami

Zdawałoby się, że baran jest to jedno z bardziej użytecznych zwierząt i że ludzie powinniby oczekiwać od niego tylko korzyści. Rzeczywiście, tak byłoby, gdyby barany należały do całego narodu, ale dziś są one w rękach garstki właścicieli, którzy za ich pomocą doprowadzają innych nieuprzywilejowanych ludzi do śmierci głodowej. Wypadki, zaszłe w ostatnich czasach w Anglii, dają nam ciekawy przykład narodu, który ginie i którego miejsce zajmują owce.

Na początku tego wieku w gospodarstwie rolnem angielskiem zaszła gruntowna zmiana: porzucono uprawę zboża, gdyż ono nie mogło wytrzymać konkurencyi z tanim zbożem amerykańskiem. Lordowie (właściciele ziemscy) w Anglii znaleźli się w bardzo smutnem położeniu: zboże amerykańskie było tak taniem, że nawet w środkowych miastach Anglii kosztowało mniej, niż zboże, sprowadzane z dworów okolicznych. Los, który spotkał właścicieli angielskich, nie jest nowiną w świecie kapitalistycznym; kto produkuje taniej, ten pobija drugiego i kapitaliści, zanim zostaną przez nas pobici, żrą się sami między sobą, jak wilki.

Lordowie znaleźli jednak sposób powiększania swych dochodów: porzucili uprawę roli, pozamieniali grunta orne na pastwiska i łąki oraz zaczęli na nich hodować owce. Silnie rozwijający się w owe czasy pod wpływem wynalezienia różnych maszyn i zastosowania pary przemysł angielski pozwolił im to uczynić. Zmiana ta zabezpieczyła lordom dochody, ale za to wywarła najokropniejszy wpływ na ludność rolną. Dla pilnowania stada owiec lub zobrania siana z łąki trzeba daleko mniej ludzi, niż dla uprawy pszenicy. Wskutek tego właściciele dóbr mogli zmniejszyć liczbę robotników. Ci ostatni w pogoni za zarobkiem zbijali płacę pozostałym i przyczyniali się do pogorszenia i tak nędznego stanu parobków. Jak wielka musiała być nędza, spowodowana tą zmianą w produkcyi, wskazuje przykład Irlandyi, ludność której zajmuje się prawie wyłącznie rolnictwem i jest zupełnie pozbawioną ziemi, należącej do paru tysięcy bogaczów. Otóż w tym kraju przed 1845 rokiem, zatem 40 lat temu, było przeszło 8 milijonów mieszkańców, teraz zaś jest mniej, niż 7 milijonów! Zatem przeszło milijon ludzi musiał wyemigrować lub umrzeć z głodu, nie licząc przyrostu ludności, któryby powinien był nastąpić za ten czas.

Lordowie nie zadowolnili się tem, że zmienili rodzaj gospodarstwa w swych folwarkach, ale zaczęli wyrzucać drobnych dzierżawców z siedzib, które ci ostatni zajmowali od wieków; lordowie robili to, by ciągnąć większe zyski i z ich ziemi. Doszło wreszcie do tego, że ludzie poczęli znikać wobec najścia owiec; na jednej wyspie naprzykład, którą zamieszkiwało około półtora tysiąca dzierżawców, w parę lat potem znaleść można było jednego pastucha i kilka psów owczarskich, stanowiących niejako dwór kilku tysięcy baranów.

Ale nietylko dzierżawców barany spędzali z ziemi; umieli oni obalić i «święte prawa» własności chłopskiej.

Włościanie posiadali w wielu miejscach serwituty na gruntach dworskich; otóż lordowie wypuszczali na wspólne pastwisko taką masę owiec, że bydło włościańskie nie znajdowało pożywienia i włościanie musieli odstępować od swych praw, nie dostając w zamian prawie nic.

Z czasem, gdy wskutek konkurencyi hodowla owiec przestała przynosić dawne olbrzymie dochody, zaczęto zakładać zwierzyńce, w których lordowie urządzali polowania i hodowali zwierzynę, by ją sprzedawać na rynkach londyńskich.

Rezultatem tego wszystkiego zjawił się potężny ruch włościański, który istnieje obecnie w Irlandyi i coraz ostrzejsze przybiera formy. Oto w ostatnich czasach ruch ten przekroczył granice Irlandyi i przeniósł się do innych prowincyj angielskich, mianowicie do szkocyi. Tylko, że tutaj włościanie nie zadawalniają się niepłaceniem czynszu dzierżawnego, ale żądają odebrania ziemi od dotychczasowych właścicieli i przejścia jej na własność gminy, oraz starają się siłą poprzeć swe żądania. Mieszkańcy całej wsi zbroją się, jak mogą, napadają na dwór, wypędzają właściciela i wraz z parobkami zajmują grunty dworskie i puszczają swoje bydło na pyszne pastwiska, przeznaczone dla jeleni.

Takie wypadki zaszły przed 3 laty na wyspie Skye i powtórzyły się parę tygodni temu na wyspie Lewis.

W Szkocyi właściwej zaszły one również w kilku miejscach, choć nie w tak wielkich rozmiarach. Lordowie naturalnie powołują na pomoc wojsko i policyję. Wówczas zaczynają się bójki, które kończą się nieraz krwawo. Chłopi są zwyciężani, ale nie upadają na duchu; po kilku tygodniach albo miesiącach rzecz się znowu rozpoczyna i chłopi postanowili nie ustąpić, póki nie postawią na swojem. Dotychczas walka jest prowadzoną przez oddzielne wsie, albo co najwyżej okolice, ale gdy w Szkocyi powstanie silna organizacyja, wtenczas i wojsko nic nie poradzi.

Na zakończenie podajemy wiadomość o jednem z takich zajść tak, jak je opisują gazety burżuazyjne:

«Nieszczęśliwi włościanie z wyspy Lewis, którzy wyruszyli w pole przeciwko baranom i jeleniom, chcąc postawić ludzi na ich miejsce, zostali w tych dniach uznani przez sąd przysięgłych za niewinnych.

Rozprawy przed sądem przysięgłych w Edynburgu (stolica Szkocyi) wywołały ogromne zajęcie i mowy obrońców były nieraz przerywane oznakami współczucia ze strony publiczności. Przewodniczący sądu starał się w swej mowie wpłynąć na sędziów, by oskarżonych zasądzili; pomimo tego jednakże przysięgli po półgodzinnej naradzie uznali włościan za niewinnych. Główny oskarżony, nauczyciel wiejski z Ballalun, został natychmiast porwany przez tłum obecnych i obniesiony w tryumfie po mieście. Gdy się wieść rozeszła po kraju, pozapalano na wzgórzach stosy, koło których tańczono z radości.

Wyrok uniewinniający zyskuje na znaczeniu wobec równoczesnej z nim wiadomości o nowym napadzie włościan na wyspie Lewis. Tym razem był on skierowany przeciwko wielkiej owczarni, znajdującej się w folwarku Galson. Folwark ten przystosowano do hodowli owiec dopiero przed kilku laty, wydalając zamieszkałych tam od wieków dzierżawców. I tym razem wywłaszczeni włościanie zwrócili się początkowo do pani Matheson, właścicielki gruntu, z prośbą o pozwolenie powrotu. Prośba ich została odrzuconą. Wówczas ogrodzenie pastwisk zaczęło znikać w nocy. «Muszą to robić czarownice» — odpowiadali na zapytanie chłopi okoliczni. Jednej nocy policyja, pilnująca ogrodzenia, spotkała oddział, złożony z 60 chłopów o twarzach poczernionych węglem (dla niepoznania), którzy łamali ogrodzenie; zaczęła się bójka, w której policyjanci zostali pobili. Nazajutrz jednakże udało się policyi zaaresztować pięciu chłopów pomimo ich rozpaczliwego oporu. Jednocześnie w Koll chłopi siłą zajęli owczarnię i puścili swe własne bydło na pastwisko. Właściciel uciekł.»

Z czasem znikną wszyscy dzisiejsi właściciele...

DRUKIEM „PRZEDŚWITU“ W GENEWIE, CHEMIN DANCET, 15